

Król Asoka, na wzgórza smuklejąc **odśloniu**,
Patrzył zowąd na wroga, co poległ na błoniu,
I rozżalił się duchem na **wronistym** koniu.

I rzekł: „Odtąd niech wrogów nie będzie na świecie,
„Niech łzom stanie się zadość, niech spoczną zamiecie, —
„Tak przysięgam: po pierwsze, po wtóre, po trzecie!”

I, ukląkwszy na mieczu, jak klęczą mocarze,
Poukochał kolejno te rany, te — wraże,
I zgromadził w pamięci **przewymarłe** twarze.

A na jego skinienie od owej godziny
Powstawały schroniska — dziwy tej krainy —
Dla człowieka, zwierzęcia i wszelkiej rośliny.

Oto razu pewnego w tym czasie bez czasu
Król Asoka zmiłował oczyma wśród lasu
Wierzbę, co umierała bez liści hałas.

Zadżumiona skwarami, bez jadła, napoju,
Schła, ledwo zieleniejąc, wpośród pszczoł wyroju,
W **przeubogim**, na zgony **ordzewiałym** stroju.

Król pojął z woli serca i z duszy nakazu
Jej milczenie, tak inne od milczenia głazu,
I czuł to, co się czuje — nigdy, lub od razu.

Więc serdecznie jej sękom przyglądał się z bliska,
Więc widział, jak się zmaga i rdzą bólu błyska,
Więc poniósł własnoręcznie chorą do schroniska.

Tam jej wybrał zakątek od słońca pstrokaty,
Tam jej rany w **rosiste pooblóczył** szmaty,
Tam przygrywał na lutni i znosił jej kwiaty.

Ale wkrótce nadeszły rozpląsane święta,
I króla otoczyły w pałacu dziewczęta,
I zapomniał o wierzbie, — bo któż to spamięta?

I tanecznie wędrował od sali do sali
I czuł, że tchom dziewczęcym brak jakichś koralu,
I że coś **powierzbnego** w duszy mu się żali.

Aż oto strażnik bramny otrąbił po grodzie,
Że wierzba uzdrowiona w cudnej bezprzeszkodzie
Przyszła, by odtąd szumieć w królewskim ogrodzie.

Król Asoka z pałacu wybiegł na spotkanie
I wyciągnął ramiona i poglądał na nie,
Że się tak wyciągnęły i tak niezachwianie.

I przybyłej sam wskazał wcieleniem swej dłoni,
Kędy ma się zielenić i w jakiej ustroni, —
I spełniła to wszystko tak, jak mówił do niej.

A w zwierciadle sadzawki aż do dna odbita
Jaśniała, przeciw niebu w fali **wniebowzbita**,
I szepnął król do siebie: „Tu niechaj rozkwita!”

A po nocy, gdy księżyc jarami się bieli,
I gdy wszystko posnęło i wszyscy posnęli,
Ona wyszła podwójnie: z ziemi i z topieli.

I biegła, **pałnikując**, po schodów marmurze
W głąb nieznanych pałaców — ku górze, ku górze,
Czyniąc kroki płochliwe, zwiewne i nieduże.

Do królewskiej komnaty chciała się przedostać
I wniosła do jej wnętrza niebyłą tam postać,
A własnemu wzruszeniu nie mogła już sprostać.

Ponad królem uśpionym tak długo — nie długo
Szumiała, aby senną uczcić go postugą,
I w pierś jego zieleni wlewała się strugą.

Król się zbudził i spojrzął w pośpiesznej zadumie,
I zgadnął, że go kocha, po szumie — po szumie,
I uląkł się miłości, że jej nie zrozumie.

I rzekł smutny: „Bacz na to, że kochasz daremnie,
„W słońce tobie poglądać, nie we mnie — nie we mnie!
„Jakimż darem twe dary, wierzbo, odwzajemnię?”

„Chcesz połowę królestwa, czy skarbu połowę?
„Chcesz, bym ciebie na kwiatów pasował królowę?
„Otom stał się ubogi i w miłość i w mowę.”

A ona mu szepnęła w którymś okamgnieniu:
— „Chcę, byś czasem znużony przystanął w mym cieniu

„I gałąź moją swemu przychylił ramieniu.

„Chcę, byś wierzył, że myślę o tobie i sobie,

„I że nie bez miłości twe ogrody zdobię.

„To — wszystko! — I byś pobyt dał mi na swym grobie.”

I król rzekł: „Wierzbo, wierzbo, iść mi z tobą w pole!

„Dolę twą, skoro trzeba, wraz z tobą **przedolę**, —

„Stanie się, jako pragniesz! Spełnię twoją wolę.

„Czuję szczęście, gdy duszę w twoją zieleń wysłę,

„Do miłości podobne tak bardzo, tak ściśle,

„Że jest samą miłością, skoro się zamyszę...”

Król umilkł. Chwilę wzajem patrzyli w swe światy,

Aż ona cię[1] z królewskiej wymknęła komnaty,

Nieśmiało więc powłócząc swe zielone szaty.

Król słyszał, jak radośnie w dół biegła po schodach,

I jak potem się w nocnych pograżyła chłodach,

I jak potem szumiała w królewskich ogrodach.